

Paul Gallico

O CHŁOPCU, KTÓRY
BYŁ KOTEM

PRZEŁOŻYŁA
Anna
Bańkowska

KROPKA

Rozdział

I

JAK to SIĘ ZACZEŁO

Peter domyślił się, że miał wypadek, chociaż nie bardzo pamiętał, w jaki sposób oderwał się od bezpiecznego boku szkockiej niani i rzucił przez ulicę do zieleńca, gdzie na barierce wylizywał się w wiosennym słońcu pręgaty kociak.

Chłopiec chciał wziąć go na ręce i pogłaskać, ale nagle usłyszał krzyk niani, a następnie straszny huk, po którym dzień zmienił się w noc, jakby zaszło słońce, i zapadła ciemność. Coś go w środku bolało, tak samo jak wtedy, gdy biegnąc za piłką, przewrócił się na stercie żwiru i zdarł sobie skórę na nodze.

Teraz chyba leżał w łóżku, a niania patrzyła na niego w jakiś dziwny sposób – najpierw zdawało się, że jest blisko, tak blisko, że Peter widział wyraźnie jej twarz, zwykle różową i pomarszczoną, a teraz zupełnie białą. Potem ta

twarz zaczęła się oddalać, aż stała się całkiem mała, jakby widziana z odwrotnej strony teleskopu.

Mamy ani taty przy nim nie było, ale nic w tym dziwnego. Ojciec służył w wojsku, mama zaś ciągle tylko się stroiła do wyjścia, a potem zostawiała synka z nianią.

Peterowi mogłoby się nie podobać, że ma nianię, jednak bardzo ją lubił. Wiedział bowiem, że w wieku ośmiu lat jest o wiele za duży na piastunkę, która traktowałaby go jak dzidziusia i wszędzie prowadziła za rękę, w końcu potrafi sam o siebie zadbać. Ale zdążył już przywyknąć do tego, że wiecznie zajęta czymś mama nie ma czasu opiekować się synkiem i siedzieć przy jego łóżku, dopóki nie zaśnie. Coraz częściej wyręczała się w tych sprawach nianią, a kiedy ojciec Petera, pułkownik Brown zauważył kiedyś, że może już czas ją zwolnić, mama nie chciała nawet o tym słyszeć, więc oczywiście niania została.

Skoro leżał w łóżku, to prawdopodobnie był chory, a w takim razie, kiedy mama wróci do domu, zacznie z nim spędzać więcej czasu. Może teraz zgodzi się spełnić wieloletnie życzenie Petera i pozwoli mu wziąć kota, który mieszkałby z nim w pokoju, zwijał się w kłębek w nogach łóżka, a z czasem nawet wślizgiwał się pod przykrycie i zasypiał w jego ramionach, ogrzewając go w zimne noce?

Peter marzył o kocie, odkąd sięgał pamięcią, to znaczy od czwartego roku życia, kiedy na farmie koło Gerrard Cross pokazano mu w kuchni koszyk z kociętami – rudobiałe puszyste kulki z matką w kolorze imbiru, która promieniając z dumy, kolejno je wylizywała. Pozwolono mu nawet dotknąć jej grzbietu. Była mięciutka i ciepła, miała niemal kwadratową mordkę, a z jej brzuszka wydobywał się dziwny dźwięk. Później Peter dowiedział się, że ten odgłos nazywa się „mruczenie”, a kot wydaje go z siebie, kiedy czuje się bezpieczny i szczęśliwy.

Od tej pory całym sercem pragnął mieć własnego kota. Niestety nie pozwolono mu na to.

Rodzice Petera zajmowali małe mieszkanie przy Mews, zaułku nieopodal Cavendish Square. Pułkownik Brown, który bywał w domu tylko od czasu do czasu, na przepustce, nie miał nic przeciwko kotu, ale mama oświadczyła, że i tak za dużo brudu nanosi się z ulicy, a poza tym w tej ciasnocie nie ma się jak poruszać. No i jeszcze niania nie znosi kotów i się ich boi, a dla mamy Petera humor niani był bardzo ważny.

Wszystko to Peter wiedział, rozumiał i akceptował, bo tak właśnie wyglądało jego życie. A jednak nadal ciężko mu było na sercu, że jego śliczna młoda mama nie miała

dla niego czasu, i nadal rozpaczliwie tęsknił do puszystego przyjaciela.

Zaprzyjaźnił się już z prawie wszystkimi kotami ze skweru: dużym czarnym z białą łatką na piersi i zielonymi oczami wielkości szylingowej monety, który należał do stróża jednego z pobliskich ogródków, dwoma szarymi, siedzącymi po całych dniach nieruchomo za oknem pod numerem piątym, zielonookim rudasem pani Bobbit, dozornicy z suterenu numeru jedenastego, marmurkowym z oklapniętym uchem od najbliższych sąsiadów oraz różowawym persem, który prawie cały czas spał na poduszce w oknie numeru dwudziestego siódmego i tylko w ciepłe, pogodne dni był wnoszony na powietrze.

Oczywiście widywał też mnóstwo bezdomnych zwierzków, mieszkańców zbombardowanego budynku nieopodal zaułka. Wszystkie te „tygryski”, marmurki, rudasy i łaciatki, stare wyjadacze i kocięta, zaprawione w bojach oprychy i pożałowania godne włóczęgi wślizgiwały się przez pręty ogrodzenia do parku, gdzie kręcąc się nerwowo przy pojemnikach na śmieci, usiłowały wyszarpać jakiś kąsek, aby utrzymać się przy życiu w bezwzględnym, nieprzyjaznym mieście.

To właśnie takie koty Peter niestrudzenie szmuglował do domu. Jedne wierzgały i wyrzywały mu się z rąk, inne

bardziej niż chętnie pozwalały nieść się tam, gdzie czekało na nie ciepło, przyjazny dotyk ludzkich rąk i może nawet posiłek.

Od czasu do czasu, kiedy udało mu się zmylić nianię, Peter przemycił jakiegoś zwierzaka do szafki w swoim pokoju i trzymał tam nieraz i dwa dni, zanim go nie wykryto.

Wtedy niania, która znała swoje obowiązki i przestrzegała poleceń pani domu, otwierała drzwi na ulicę i wrzeszczała: „Precz! Psik! Wynocha stąd, brudasie!”, przepędzała kota miotłą. A jeśli i to nie pomogło, bo biedak skrył się w jakimś kącie, łapała go za kark i bez skrupułów wyrzucała z domu. Potem karała Petera, którego jednak najbardziej bolało rozstanie z nowym przyjacielem, takim szczęśliwym i bezpiecznym w jego ramionach.

Chłopiec nauczył się nie rozpaczać głośno, kiedy go to spotykało. Można przecież płakać w środku, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

Podobnie czuł się i teraz, ale tylko trochę podobnie. Tym razem naprawdę chciało mu się płakać, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie wiedział, dlaczego tak jest, poza tym, że zdarzyło się to tuż potem, gdy wykorzystując nieuwagę niani, która akurat rozmawiała z listonoszem, popędził do przęgatego kociaka.

Ale kiedy bez chwili namysłu wbiegł na jezdnię, uderzyła w niego ciężarówka z węglem. Rozległy się krzyki, lament niani, zrobiło się zbiegowisko, policjant wziął Petera na ręce i zaniósł do domu. Sprowadzono lekarza, próbowano odnaleźć mamę, aż wreszcie zabrano chłopca do szpitala. Ale o tym Peter jeszcze długo nic nie wiedział, bo najpierw miało się wydarzyć wiele osobliwych rzeczy.

Sprawy niewątpliwie przybrały dziwny obrót, gdyż noc zapadła tak szybko, jak w kinie, gdy po zgaszeniu świateł robi się zupełnie ciemno. I ta twarz niani – z początku tuż nad nim, a potem znikająca w oddali tylko po to, żeby pojawić się znów w okularach świecących niczym reflektory nadjeżdżającego samochodu...

Ale najdziwniejsze nastąpiło w momencie, kiedy jego łóżko zaczęło się kołysać jak mała łódeczka na falach, a powracająca z daleka twarz niani zmieniła się nagle w mordkę tamtego pręgatego kociaka, który wylizywał się na barierce parku i którego Peter tak bardzo chciał przytulić.

Teraz ów śliczny mały kotek rozrósł się do ogromnych rozmiarów i siedząc przy łóżku, uśmiechał się przyjaźnie. Miał wielkie jak spodki błyszczące oczy, podobne do okularów niani, w których Peter przeglądał się czasem jak w lustrze.

To, co zobaczył w tych oczach, naprawdę go zaskoczyło. Wyglądał w nich zupełnie inaczej niż w dużym lustrze w holu czy nawet w okularach niani, gdzie zwykle widywał odbicie swoich kędzierzawych, krótko ostrzyżonych włosów, okrągłych oczu, zadartego noska, stanowczego podbródka i rumianych jak jabłka policzków.

W pierwszej chwili nie próbował się zastanawiać, jak wygląda, bo tak przyjemnie było po prostu zatonać w chłodnych zielonych sadzawkach kocich oczu. Wydało mu się, że pływa w jakimś głębokim, przejrzystym jeziorze, rozkoszując się pięknem szmaragdowej zieleni i kojącym ciepłem kociego uśmiechu.

Ale nagle zorientował się, że wszystko to staje się więcej niż dziwne.

Czasem obraz tracił ostrość, a czasem robił się bardzo wyrazisty, tak że chłopiec widział, jak bardzo zmienił mu się kształt i kolor głowy. Zamiast kędzierzawej, kasztanowej czupryny i różowych policzków miał teraz króciutkie śnieżnobiałe futerko.

– Ojej – wykrzyknął sam do siebie. – Pomyślałem „futerko”, a nie „włosy”! Coś niesamowitego! Czyżbym przez to wpatrywanie się w oczy kociaka sam zmienił się w kota?

Nadal jednak nie mógł oderwać od nich wzroku. Po prostu nie był w stanie patrzeć gdzie indziej. Za każdym razem, kiedy obraz mętniał, zaczynał drgać, jakby coś poruszało nim od wewnątrz, a gdy znów się wyostrzał, Peter dostrzegał nowe szczegóły: dziwnie skośne oczy – już wcale nie szare, tylko bladoniebieskie, różowy trójkącik w miejscu zadartego nosa, wygięte ku dołowi usta z długimi białymi wąsami w kącikach, ostre białe ząbki...

Głowa stała się teraz bardziej kwadratowa, duże skośne oczy patrzyły prosto przed siebie, spiczaste uszy stały jak na warcie.

„Ach – pomyślał Peter – tak właśnie bym wyglądał, gdybym był kotem. Jakże bym tego pragnął!”

I nagle zamknął oczy, bo ten niezwykły obraz własnej twarzy stał się teraz tak wyraźny, że aż przerażający. Chcieć być kotem to jedno, a stać się nim naprawdę – całkiem co innego.

Kiedy znów je otworzył, wydało mu się przez chwilę, że przełamał czar kocich ślepiów, bo mógł już odwrócić od nich wzrok. Udało mu się spojrzeć w dół, na swoje łapy – śnieżnobiałe, puszyste, z różowymi poduszeczkami pod spodem i zakrzywionymi niczym tureckie miecze, ostrymi jak igły pazurami na końcach.

Ku swemu zdumieniu Peter zauważył, że już wcale nie leży w łóżku, tylko na nim siedzi. Całe jego ciało, teraz długie i smukłe, było białe i miękkie jak gronostajowa mufka, którą mama nosiła zimą, kiedy chciała zadać szyku. Od czubka ucha do końca tego, co przypominało węża bez oczu, ruchliwego, z drgającym nerwowo koniuszkiem, a co okazało się jego własnym ogonem, spowijało je nieskazitelnie białe futro.

Kociak – tygrysek, który najwyraźniej spletał mu figła, czarując go swoim uśmiechem i nieruchomymi oczami, gdzieś zniknął. W pokoju była teraz tylko niania, ale dzie sięć razy większa niż dotychczas. Stała nad łóżkiem, wrzeszcząc tak głośno, że Petera aż rozbolały uszy:

– Skaranie boskie z tym dzieckiem! Znów przywłókł jakiegoś przybłędę! Psik! Poszedł! Wynocha!

– Ależ nianiu – krzyknął Peter – to ja! Nie jestem kotem, nianiu, przestań! Proszę...

– Jeszcze będziesz się stawiał? – ryknęła niania. – Zaraz zobaczymy! – Pobiegła do holu i wróciła z miotłą. – Jazda mi stąd w tej chwili!

Petera aż zmroziło ze strachu. Skulił się na drugim końcu łóżka i starając się uchylić przed razami, jęczał:

– Niece, nianiu, niee, proszę...

– Ja ci tu pomiauczę! – Rzuciła miotłę i złapała Petera za skórę na karku. Nie pomogły rozpaczliwe jęki ani wierzganie łapami. Trzymając go w powietrzu jak najdalej od siebie, wyniosła go do holu, mruczając gniewnie do siebie: – Niech no tylko Peter wróci! Jak nic pójdzie spać bez kolacji. Ile razy mam mu powtarzać, żeby nie sprowadzał więcej kotów!

A potem bezceremonialnie wyrzuciła swojego podopiecznego na ulicę i zatrzasnęła za nim drzwi.